



Nauka i przyjaźń – komentarz matuzalema

Interesujący dwugłos o przyjaźni w nauce (M. Korytowska, PAUza 435; A. Pelc, PAUza 438) porusza problem uniwersalny, z którym zetknął się – jak sądzę – każdy z nas, zaangażowanych poważnie w życie naukowe.

Chociaż więc nie mam żadnych kwalifikacji do zabierania głosu w tak skomplikowanych sprawach, myślę, że mój wiek i doświadczenie uprawniają mnie – być może – do wtrącenia dodatkowych trzech groszy do tej interesującej dyskusji.

Pani Profesor Korytowska zaczyna od postawienia szeregu pytań, które wydają mi się niepokojące, a nawet mogą być odebrane jako krzywdzące dla ludzi zajmujących się badaniami naukowymi. Można je bowiem rozumieć jako sugestię (być może wbrew intencjom Autorki), że uczeni stanowią jakąś specjalną kategorię ludzi, którzy – będąc bez reszty zaangażowani w badania – są niezdolni do nawiązywania prawdziwych przyjaźni (w sensie arystotelesowskim). Profesor Pelc nie podejmuje tego tematu.

Na drugą grupę pytań Profesor Korytowskiej (retorycznych, jak sądzę), czy konkurencja w walce o granty, punkty, itd. nie przeszkadza rozwijaniu zwykłej naukowej współpracy, która ma wielkie znaczenie dla osiągania cennych wyników badawczych, Profesor Pelc odpowiada (o ile dobrze zrozumiałem) negatywnie. Przedstawiając własne wspomnienia z pracy w bardzo konkurencyjnym środowisku, wskazuje, że konkurencja wcale nie musi wpływać ujemnie na współpracę w badaniach, a także na tworzenie więzów przyjaźni. Na marginesie dodam, że najwyraźniej rozmówcy używają słowa „przyjaźń” w dwóch różnych znaczeniach, co trochę utrudnia porównanie ich poglądów.

O ile moje doświadczenia w dużym stopniu pokrywają się z tym, co napisał Profesor Pelc, to jednak widzę też pewne różnice, wynikające prawdopodobnie stąd, że on pracuje w Kanadzie, a ja pracowałem w Polsce. Zaczijmy od podobieństw. Również pracowałem zazwyczaj w zespołach dwu- lub trzyosobowych. Również ich skład się zmieniał (choć nieczęsto, a są takie, które przetrwały wiele lat). I również zawiązywały się przyjaźnie.

Główna różnica polega na tym, że w naszej „drużynie” rzadko mieliśmy poczucie, że ścigamy się z kimkolwiek. Unikalnymi takich wyścigów nie z powodów „zasadniczych”, ale głównie dlatego, że pracując w Polsce, czyli na peryferiach, nie mieliśmy właściwie żadnych szans na wyprzedzenie ludzi z „wielkiego świata”. Wyjściem było wyszukiwanie,

a następnie badanie zjawisk, którymi nikt, albo prawie nikt na świecie się nie interesował*. Czasem, przy łacie szczęścia, udało się spowodować, że to inni zaczęli nas „gonić”. Mając znacznie większe możliwości, oczywiście dość szybko przeganiłi. Ale jakiś ślad naszej samotnej ścieżki niekiedy pozostawał.

Osobiste doświadczenia nie powinny jednak być zbyt łatwo uogólniane. Sądzę, że po prostu nie ma jednoznacznej odpowiedzi na pytania postawione przez Profesor Korytowską.

Nie ulega wątpliwości, że współpraca naukowa niesłuchanie wzmacnia szanse uzyskania znaczących wyników. Dobrze ilustruje to znane spostrzeżenie: współpraca polega na tym, że jeden ma pomysł, drugi wie, jak to zrobić, a trzeci robi. To oczywiście skrajne uproszczenie, ale zawiera sporo prawdy. Istnieje więc silna, racjonalna motywacja do podejmowania współpracy. Ale ludzie są tylko ludźmi i nie zawsze działają racjonalnie. Nader często emocje biorą górę i współpracę uniemożliwiają. Jeden z moich wielkich mistrzów mawiał: nie potrafię współpracować z kimś, kogo nie lubię. Dodając jednak: ale tak się dziwnie składa, że wszystkich zdolnych bardzo lubię.

Można jednak zasadnie zapytać, gdzie tu miejsce na prawdziwie głęboką przyjaźń, o której mówi Arystoteles, a za nim Profesor Korytowska. Czy taka przyjaźń ma jakieś znaczenie w pracy naukowej? Moim zdaniem odpowiedź tkwi w punkcie, który został w tym dwugłosie zupełnie pominięty. Współpraca oparta na prawdziwej przyjaźni ma mianowicie ogromne znaczenie dla pokonania wielkiej trudności, jakiej doznaje chyba każdy człowiek poważnie zaangażowany w badania. Chodzi o opanowanie kolosalnego stresu, jaki zazwyczaj towarzyszy temu procesowi. Droga do uzyskania naprawdę oryginalnego wyniku przypomina przecież raczej diabelski młyn niż gładką autostradę. Te wzloty i upadki oraz związane z nimi stany euforii i depresji często okazują się ponad siły pojedynczego człowieka. Pomoc zaufanego przyjaciela często ratuje sytuację i jest po prostu nieoceniona.

Podsumowując, myślę, że w nauce jak w życiu: posiadanie wypróbowanego przyjaciela jest wielkim skarbem, o który zawsze warto zabiegać. O ile więc może się zdarzyć, że konkurencja oraz związane z nią patologie czasem osłabiają chęć do współpracy naukowej, to jednak trudno przypuścić, aby wpływały w istotny sposób na tak wspaniałe uczucie, jakim jest prawdziwa przyjaźń. Nawet wśród uczonych.

ANDRZEJ BIAŁAS

Uniwersytet Jagielloński

* Nie było to postępowanie szczególnie oryginalne. Tak starał się działać wówczas każdy, kto zdecydował się (lub był zmuszony) pracować w Polsce.

